№ 30. Wilno, dnia 18 Października 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Wiktorja Dalewska.

Pieśń Marji Konopnickiej.

Polskiem polem, polskim lasem
Szła „Pieśń" zadumana...
Przystanęła nad ruczajem
W blaskach zórz skąpana.
 I czekała, czy się znajdzie
 Ktoś, co się potrudzi,
 By ją w barwne ubrać słowa,
 Rzucić w świat — dla ludzi!
Aż Pieśniarka nasza przyszła,
Dłonie wyciągnęła...
Cudną, słodko zadumaną,
Do serca przyjęła.

I dzwoniły odtąd pieśni
Z jej lutni płynące,
Szczere, rzewne i serdeczne,
Wonią kwiatów tchnące.
Brzmiało zawsze w nich gorące
Ziemi ukochanie —
I drżał smutek wyżbierany
Na ojczystym łanie.
Skarżą się w nich biedni ludzie
Na swe bóle, troski...
Ale biła z nich i wiara
W jasną przyszłość Polski!
Wszystkie piękno naszej ziemi
W swych pieśniach zaklęła,
Więc choć dawno śpi poetka,
Pieśń jej nie zginęła!...



Jak Wilno witało wojsko polskie d. 9 października 1920 roku.

9 października 1920 r. wieczorem.

— Doczekaliśmy się was, już jesteście z nami, żołnierzyki nasi, obrońcy kochani! Wróciliście do nas najmilsi i znowu jesteśmy z Polską. Cudowny, niezapomniany dzień. Ale trzeba zacząć od początku.

Przez cały dzisiejszy ranek huczały armaty. Litwini odchodząc ostrzeliwali się, a nasi odpowiadali, ale była to jakaś taka sobie strzelanina, jak Zbyszek mówi: „Wojna na niby“.

Koło godziny trzeciej, po południu, wpadło do miasta czterech ułanów. Ludzi już pełno było na ulicach. Na widok ułańskich lanc z piersi tłumu padł jeden okrzyk: —

Niech żyje Polska! Niech żyją Jej obrońcy! i kto tylko miał kwiaty, lub papierosy, to je podawał ułanom.

Trzymałam w ręku pęk białych chryzantemów. Jeden z ułanów podjechał do mnie i poprosił o kwiat, podałam mu dwa. Jeden zatknął na lancę, a drugi przypiął sobie do piersi, powiedział mi, że za chwilę wejdą do miasta „Dzieci Wileńskie“ t. j. pułki: Miński, Grodzieński i Wileński. Zapewnili nas, że żadna bitwa nigdzie się nie toczy. Litwini wynoszą się cicho i pokornie.

Za chwilę przez Ostrą-Bramę szli nasi żołnierze, naprzód piechota.

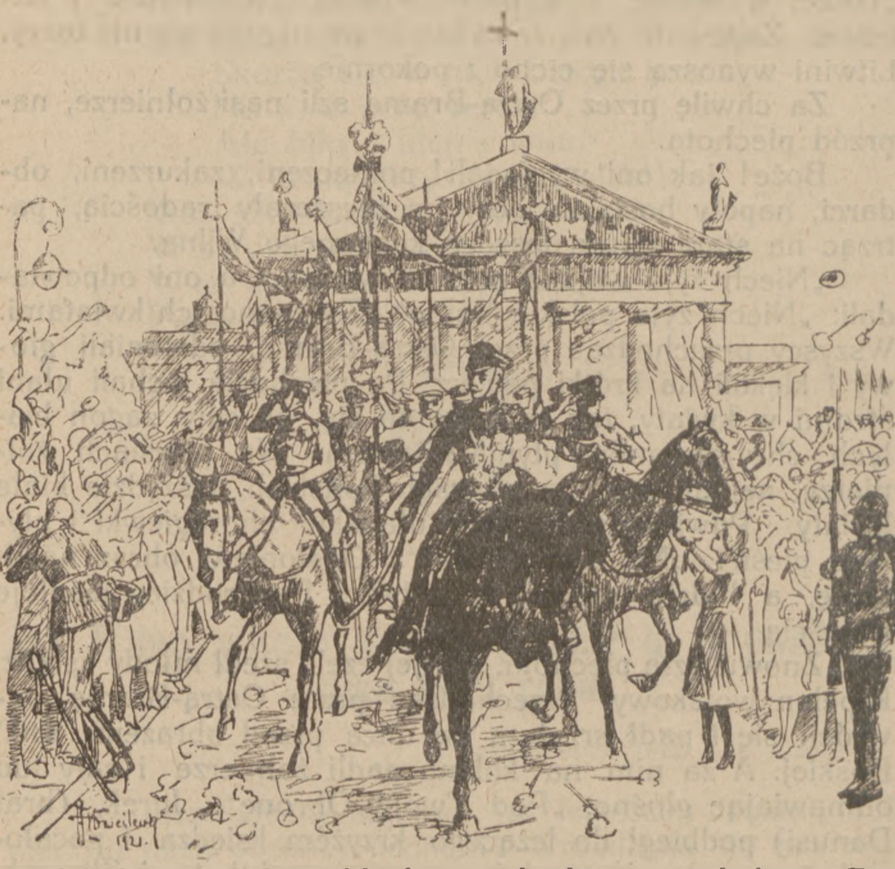
Boże! jak oni wyglądali! pomęczeni, zakurzeni, obdarci, napoły bosi, ale oczy im błyszczały radością, patrząc na stare mury naszego kochanego Wilna.

„Niech żyje wojsko polskie! wołano, a oni odpowiadali: „Niech żyje polskie Wilno“! Zasypano ich kwiatami. Wszyscy przechodząc przez Ostrą-Bramę, odsłaniali głowy i klękali na krótki pacierz. Po piechocie jechali ułani strojni w kwiaty, tak że zdawało się, że cały zagon białych chryzantemów płynie miastem. Na piersiach żołnierzy, na lancach, na głowach końskich, wszędzie białe kwiaty. Powiewały barwne ułańskie chorągiewki i płynęła pieśń: „Nie damy ziemi“. Odsłonięto obraz na litanję, a ludzie mówili, że i twarz Bogarodzicy jaśnieje radością.

Znowu szła piechota. Na jej czele szedł młody ksiądz, kapelan wojskowy. Przechodząc przez Ostrą-Bramę, odwrócił się i padł krzyżem na ulicę przed obrazem Matki Boskiej. A za nim na kolana padli żołnierze i cały lud odmawiając głośno: „Pod Twoję Obronę“. Jurek, (brat Danusi) podbiegł do leżącego krzyżem księdza i pocałował go w rękę. Naturalnie za nim zrobił to i Zbyszek, a gdy ksiądz wstawał, otoczyły go dzieci z różnych stron, a on je przeżegnał i głośno zawołał: „Błogosław dzieci polskie, Święta Boża Rodzicielko“! A wojsko wciąż szło zasypywane przez ludność Wilna kwiatami, słodyczami i papierosami.

— Jezu, jacyż wy zakurzeni, mówiła jakaś staruszka, patrząc ze łzami na żołnierzyków, bo wszyscy tacy byli młodzi, drobni, szczupli, zupełne dzieci, — a konie wasze

jakie zbiedzone". — „Bo już całe dwa tygodnie jedziemy do was, do Wilna, odpowiadają i konie nie rozsiodływane, to się i pomarnowały". — Płynęły tak i płynęły wojska miastem, a my nieznacznie posuwaliśmy się z nimi, aż znaleźliśmy się przy placu Katedralnym. Dzień był szary, mglisty, jesienny, aż naraz rozwiały się kędyś chmury



i cały plac stanął w blasku zachodzącego słońca. Zajaśniały ułańskie czaka i chorągiewki, śnieżną bielą świeciły kwiaty na lancach żołnierzy, na ich piersiach.

Pomyślałam sobie, że Bóg dobry, który nas cudem wybawił z niewoli, teraz temi jasnemi promieniami słońca daje nam znak, że już się nasza niewola skończyła. Światło wolności jaśnieje ponad nami. Tak się o tem zamyśliłam, że już i na jadących żołnierzy nie patrzałam. W tem z szeregów ktoś głośno zawołał:

— Danusia!—Obejrzałam się, a już Jurek mnie wyprzedził, skoczył do ułana i jednym susem zawisł u szyi Stefka.

— Boże! co za radość. Rzuciliśmy się wszyscy witać go, naszego własnego żołnierzyka.

A on woła:

— Widzicie, przyszliśmy tu do was i już z wami zostaniemy.

— „Niech żyją Dzieci Wileńskie“! wołano na ulicy.

Stefek musiał jechać ze swym oddziałem, ale zapowiedział, że jeszcze dziś będzie u nas. Ciocia powiedziała mu, by zabrał ze sobą na wieczerzę kolegów, którzy tu nikogo nie mają swego.

Najpóźniej, bo już koło godziny ósmej przyszedł pułk Wileński, gdy go witano okrzykiem:

— „Niech żyją żołnierze wileńscy“! ci odpowiedzieli:

— „Niech żyją panny wileńskie“!

— Nie, nie, zawołała jakaś kobieta, wołajcie:

— „Niech żyją baby wileńskie, bo nas tak ochrzcili Litwini“, a żołnierze dawajże krzyczeć: „Niech żyją baby wileńskie“! Aż się echo rozlegało.

Wtem ktoś z tłumu położył mi rękę na ramieniu.

— Patrz dziecko, mówiła jakaś starsza kobieta, oto On, wódz tego wojska, nasz Obrońca! Generał to Żeligowski! To On nas ocalił, oswobodził.

Spojrzałam w stronę, którą mi wskazywała i zobaczyłam jadącego konno, po za szeregami Wileńskiego pułku, starszego wojskowego.

Jechał sam, powoli, rozglądając się po placu, pokrytym szczelnie zwartym tłumem ludzi.

Zapytałam tamtą kobietę, skąd wie, że to generał Żeligowski, i że on jest dowódcą tego wojska. Wszak nikt imienia jego nie wymienił.

— Syn mój, odpowiedziała mi, służy w Wileńskim pułku, dziś już raniutko był u mnie i opowiedział mi wszystko, a teraz pokazał mi generała.

Zmrok już był zupełny, nie mogłam dojrzeć twarzy generała, ale miałam chęć paść na ziemię i całować kamienie, po których jechał On, wódz nasz! Obrońca Wilna!

Wyjątek z książki M. Reuttówny
p. t. „Dzienniczek Danusi“.

J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

(Ciąg dalszy).

Wesoło schodziły dnie małej gromadce, żałowano tylko ogólnie, że za szybko czas mija, za prędko dzień się kończy.

— Szkoda, rzekł raz Tadzio, że nie mogę jak Jozue, powstrzymać biegu słońca.

— Nie wielebyś miał przyjemności, zaśmiała się Tosia, bo wszak Jozue stał na miejscu z wyciągniętemi rękami do góry, przez cały długi dzień. Niemógłbyś się grzebać w piasku, ani kąpać w morzu, ani też pływać łodzią.

— Prawda, zawołał brat, już nie chcę być Jozuem, ale wiesz co Józiu, ty byś mógł stać tak jak on na piasku. Mybyśmy używali w kąpieli i na łodzi, a ty spokojnie stałbyś z wyciągniętemi rękami do góry, prosząc Boga by nam dał dzień długi, długi, w którym by słońce wcale nie zachodziło.

— E, rzekł Józio, nie głupim tak stać w słońcu cały dzień. Przecie nogi by mnie zabolały od stania i ręce pomdlały by ze zmęczenia. A i głowa mogłaby się rozboleć i tyle by było przyjemności... Zresztą ja wiem to czego Jozue nie wiedział, że słońce się nie rusza, a tylko ziemia dokoła niego obraca się.

. . . .

W połowie wakacji, p. Borska otrzymała bardzo naglące wezwanie od męża. Pisał, że w ważnej sprawie należy jej przyjechać natychmiast do Bydgoszczy. Przeraziło ją to mocno.

— Pewno zachorował, powiedziała do siostry i nie chcąc dzieciom psuć wakacji mnie tylko wzywa.

Pani Roińska była tegoż zdania i postanowiła odwieźć siostrę do Bydgoszczy. Jakże jednak dzieci zostawić same?

— Nie jesteśmy już takimi małymi, by nas nie można było na dwa, trzy dni, samych zostawić, powiedział

Antek, wprawdzie tamtych troje, to jeszcze wielki drobiazg, ale przecie, Tosia, ja i Stef zaopiekujemy się niemi.

— Tak, tak, mateczko, zawołała Tosia, już na krok nie odstąpię Krysi, proszę być spokojną.

Stef obiecywał czuwać nad chłopcami, a malcy, zapewniali, że będą grzeczni jak anioły w niebie.

Pojechały więc obie panie.

Pierwszego dnia, opiekunowie gorliwie pełniąc swe obowiązki, cały dzień spędzili z dziatwą, urządzając im różne przyjemności.

Wieczorem przyszedł stary Chojko i siedząc przed domem opowiadał starszym i młodszym różne swe przygody podczas połowu ryb na morzu.

Dorotka, wiążąc sieć, śpiewała piosenkę: — o rybaku, co pojechał rano na połów ryb. — Cicho i jasno było, gdy odbijał od brzegu, wesoło żegnała go żona i dzieci. Ale naraz zerwał się silny wicher, morze stało się „twarde“ jak mówią Kaszubi, to jest burzliwe. Silne fale rzucały małą łódką jak piórkiem. Rybak był silny, młody, umiał wiosłować, borykał się więc z falą morską. Ale była silniejszą od niego. Brała jego łódź na grzbiet, podnosiła ją wysoko, wysoko, a potem ciskała na morze, jak łupinkę orzecha. Czarne chmury pokrywały niebo, zahuczały grzmoty i ogniste błyskawice raz po raz rozdzierały ciemności. Rybak żegnał się z życiem i polecając Bogu duszę, ze smutkiem myślał o młodej żonie i małej córeczce Jagusi. — Pozostaniecie sieroty biedne — mówił, już was nigdy oczy moje nie ujrzą...

A na brzegu młoda żona z dzieckiem czekały dzień cały powrotu męża i ojca. Minął dzień. — Nadeszła noc i straszna burza. Wszyscy poszli do domów. One czekały...

— Chodź z nami—wołano na rybaczkę—nie wróci już twój Janek. Morze go na wieki zabrało. Ale żona odejść z brzegu nie chciała. A maleńka Jagusia padła na ziemię wołając głośno—Tatusiu, tatusiu, wracaj, do nas, wracaj kochany...

Zahuczało morze, uderzył piorun, a fala rzuciła łódką o skałę. Wpadł w wodę rybak młody. Czuł, że tonie, a nie miał siły by płynąć do brzegu. Już dłużej walczyć nie może z falą...

W tem, w huku morza dosłyszał wołanie z ziemi, dosłyszał płacz żony i głos Jagusi: — Tatusiu, wołała, wracaj do nas...

Westchnął do Boga nieszczęsny, by się nad dzieckiem ulitował. I ostatki sił zbierając płynął do swoich. Ranek wstał jasny, rozeszły się chmury, gdy nawpół żywego ojca ujrzały rozradowane oczy Jagusi. — Wrócił tatuś!...

Krysia słuchając piosenki, łzy miała w oczach, ucieszyła się, że wrócił zdrów i szczęśliwy. Drugiego dnia zrobiono wielką wyprawę do lasu. Zbierano szyszki, biegano i bawiono się wesoło.

Trzeciego wieczorem, oczekiwano powrotu p. Roińskiej i ułożono sobie, że wszyscy pójdą ją spotkać. O południu by skrócić czas oczekiwania, wybrano się całą gromadą nad morze. Nie widziano go przez dwa długie dnie i Antek stęskniony był do szumu fal.

Był to dzień targowy i Chojko z synem poszli do Hel, a Chojkowa z Dorotką roznosiły gdzieś po letniskach ryby.

Jasno było, słonecznie, morze stało ciche jak nigdy. Trzymając młodszych za ręce, opiekunowie chodzili z nimi po wybrzeżu.

— O, łódź Chojki stoi, zawołał Tadek, widzicie.

— Nic dziwnego, rzekł Antek, przecież poszli do Hel pieszo.

— Łódź na łańcuchu, oho i na jakim grubym, zauważył Tadzik.

— Nic dziwnego, odparł Józio, przecie mogłyby ją fale porwać.



— A żebyśmy tak trochę posiedzieli w łodzi, rzekł Tadzio, to by było bardzo przyjemnie. Antek uważał, że można śmiało to zrobić i nie namyślając się wszedł pierwszy do łodzi, w której już tyle razy pływał.

— Miło bodaj tu posiedzieć, jeśli już nie można płynąć, rzekła Tosia, o takby było miło, takie śliczne, ciche morze...

— Tak, ale obiecaliśmy paniom, że jeździć łodzią w ich nieobecności nie będziemy, mówił Stef. *(d. c. n.)*